

Barbara Kreutzinger – Cywińska

DZIEŃ WRZEŚNIOWY

**Autentyczna historia, która wydarzyła się w dniu
opuszczenia Warszawy w 1944 roku**



Opowiadanie to dedykuję pamięci mojej Mamy Ireny z Samborskich Kreutzingerowej, której odwaga i determinacja sprawiły, że moja najbliższa rodzina bez uszczerbku wyszła z tak trudnego doświadczenia, jakim było przymusowe opuszczenie ogarniętej powstaniem Warszawy. Basia

Brwinów–Pszczelin w styczniu 2011 roku

Redakcja i korekta: Barbara Kreutzinger – Cywińska
Opracowanie graficzne: Julian Cywiński
Zdjęcia ze zbiorów rodzinnych autorki
Fotografie miasta [W:] Życie w powstańczej Warszawie
sierpień - wrzesień 1944
Relacje - dokumenty.

Motto:

Kiedy się w ludziach miłość śmiercią stała
i runął na nas grzmiąc ognisty strop,
błogosławieni ci, co im za mała
była ta trwoga dla serc i dla rąk.
Kiedy się krwawym szwem zszywały dzieje,
choć ziemia była jak jaśminowy pęk,
błogosławieni byli ci – nadzieją
łączący z niebem ton – źródłany dźwięk.

Krzysztof K. Baczyński: Dzieło dla rąk

Bezradnie poruszała się po mieszkaniu – pod stopami chrzęściła gruba warstwa rozbitego szkła. Spojrzała na okna – no tak – nie tylko nie było w nich szyb, ale w ścianach widniały poszarpane otwory, w których nie było w ogóle ram. Pomyślała, że to skutek wczorajszych wybuchów, które wywołały taką panikę w piwnicach pełniących rolę schronów.

Wstrząsnęła się na myśl o tym, co mogło stać się z jej młodszą córeczką, którą spanikowany tłum zagarnął ze sobą i wypchnął na ulicę w obawie przed zasypaniem w ruinach domu. Na szczęście jej ojciec, dziadek dziewczynki, znalazł ją na ulicy przy nieczynnej barykadzie. Wszystko w końcu dobrze się skończyło więc nie czas teraz o tym myśleć – trzeba znaleźć jakieś ubrania dla dzieci, męża i siebie, bo jutro w godzinach od 10 do 18-tej ma być zawieszenie broni i będzie można, w miarę bezpiecznie, opuścić wraz z dziećmi i rodzicami, ogarnięte wojennymi działaniami, miasto.

Raz już Niemcy po porozumieniu z Międzynarodowym Czerwonym Krzyżem wyznaczyli czas przerwania działań wojennych w celu umożliwienia mieszkańcom wyjścia ze stolicy. Wtedy jednak jeszcze wszyscy w rodzinie wierzyli, że będzie można, mimo wszystko, zostać u siebie, chociaż w piwnicach domu, szczególnie, że obie dziewczynki rozchorowały się i piesza wędrówka przez gruzy byłaby bardzo uciążliwa dla wszystkich, nie wyłączając jej rodziców, szczególnie matki, która po urazie z wczesnej młodości nigdy nie doszła do pełnej sprawności i lekko kuląła.

Sytuacja też wydawała się lepsza z chwilą, gdy doszły wiadomości o zbliżającej się od wschodu linii frontu – Armia Radziecka, w której składzie znajdowała się polska Dywizja im. Tadeusza Kościuszki, doszła już do linii Wisły. Głuche, dochodzące z tamtej strony dudnienie i odgłosy wybuchów napawały otuchą – wierzono, że to kwestia kilku dni, może tygodnia i Warszawa będzie wolna. Niestety nie tylko działania wojenne ustały ale desant polskiego oddziału idącego na pomoc powstańcom został przez Niemców odparty przy dużych, niestety, polskich stratach.

Fakt ten, jak też doniesienia o nieudanej wyprawie wielkiej angloamerykańskiej eskadry z pomocą dla powstańców (80 % zrzutów dostało się w ręce Niemców), sprawiły, że według oceny większości mieszkańców kamienicy przy Chmielnej sytuacja stawała się coraz bardziej beznadziejna i nie było już na co czekać w ogarniętym powstaniem, pozbawionym żywności i wody, mieście.

Rodzinna narada zakończyła się postanowieniem, że trzeba skorzystać z kolejnego zawieszenia działań wojennych i wyjść z miasta, szczególnie, że kończyły się już zapasy zbieranych od początku wojny sucharów, słoniny i kaszy przywiezionych ze wsi a i o wodę było coraz trudniej.

Myślała o tym wszystkim pakując do walizki to, co wydawało jej się najniezbędniejsze na tą drogę w nieznaną i to, co udało się jej znaleźć w poświęceniu nieodległych pożarów. Denerwowała się też, czy mąż zdąży wrócić do rana z akcji – dziś znowu jako komendant obywatelskiej straży pożarnej został z podopiecznymi wezwany do gaszenia kolejnego pożaru w okolicy.

Rozmyślania te przerwały najpierw dalekie, potem coraz bliższe wybuchy – policzyła – sześć, to znaczy, że Niemcy znowu uruchomili „krowę” (tak Warszawianie nazywali jedno z najgroźniejszych dział, które przy uruchamianiu, może ładowaniu, wydawało przeciągłe ryki). Nie czekała dłużej, ostatnim spojrzeniem ogarnęła szkło zaścielające podłogi, połamane meble, poszarpane zasłony, ukochany fortepian zasypany gruzem i szybko zbiegła z czwartego piętra, dziękując losowi, że jeszcze schody są całe.

* *
*

Ranek 19 września 1944 roku wstał piękny, słoneczny, jakby na przekór temu, co działo się wokół – jak okiem sięgnąć na horyzoncie widniały wypalone

domy, a puste oczodoły okien w świetle rodzącego się, pogodnego dnia pogłębiały nastroje przygnębienia i beznadziei.

Na wpół zburzona kamienica przy Chmielnej nie była już bezpiecznym schronieniem a i gromadzone przez poprzednie lata zapasy żywności były już na ukończeniu. Tak więc nie tylko rodzina Ireny, ale większość mieszkańców była przygotowana do opuszczenia miasta.

O 10-tej umilkły działa, nie słychać też było, jak zwykle o tej porze, nadlatujących samolotów, przzerwano ostrzał pozycji powstańczych, zaczęło się ośmiogodzinne zawieszenie broni.

Rodzina nie zwlekała dłużej, ogromna walizka z najpotrzebniejszymi rzeczami dla czterech osób czekała przy wyjściu z piwnicy. Mama i ojciec też mieli przygotowane lekkie bagaże. Irena z niepokojem patrzyła na mamę – czy podoła, czy uda jej się iść w tych warunkach? Ojciec uspokoił ją obiecując, że w razie potrzeby wesprze żonę, a jak będzie trzeba, zapewnił z błyskiem w oku, poniesie swój słodki ciężar. Sami z Feliksem też „mierzyli siły na zamiary” – wszak mieli do opieki i ochrony dwoje dzieci – siedmioletnia Basia, wprawdzie osłabiona jeszcze po ciężkiej chorobie, powinna dać sobie radę w marszu, ale pięcioletnia Oleńka ciągle choruje i z dnia na dzień słabsza wymaga niesienia i zaopatrzenia na drogę w dużą ilość płynów. Byli jednak młodzi i choć wyczerzeni długotrwałym niedojadaniem i lękiem o bliskich, zdrowi i wierzyli, że uda im się pokonać przeciwności losu nawet w tych strasznych warunkach.

O 10.20 ruszyli! Najpierw Chmielną, potem Złotą w kierunku Woli. To, co ukazało się ich oczom po opuszczeniu śródmieścia wydawało się nierealnym, koszmarnym snem – wokół nie było widać ani jednego ocalałego, choć w części, domu, ogromne gruzowiska raz po raz przegradzały głębokie leje po bombach. Po upływie godziny gdzieś pośród rumowisk można było zobaczyć ocalałe fragmenty domostw. Porwane, nadpalone firanki, połamane meble, odarte ze ścian, powiewające na wietrze tapety – te mieszkania, dopiero co, w pośpiechu opuszczone, teraz skazane przez okaleczenie na widok publiczny, robiły szczególnie przygnębiające wrażenie na wygnańcach.

Ścieżka wśród ruin, którą się poruszali była bardzo zatłoczona – jak okiem sięgnąć ciągnął się, wolno posuwając się naprzód, ogromny tłum, który powiększał się z każdą chwilą – wielu rannych i chorych było niesionych razem z wózkami inwalidzkimi, staruszków młodzi nieśli na krzesłach. Niewielu już mieszkańców miało możliwość i odwagę pozostania w umierającym mieście.

Na Złotej do rodziny dołączyła siostra Wanda z mężem i trzyletnim synkiem Mareczkiem.

Szli w milczeniu ze zgrozą spoglądając na pobocza, gdzie raz po raz z ruin wystrzelały płomienie, a wśród gruzów, obok świeżych mogił, oznaczonych drewnianymi krzyżami, w kurzu, byle jak przykryte płachtami, leżały zwłoki ludzi i zwierząt. Upał wraz z upływem czasu wzmagął się, dym gryzł w załzawio-

ne oczy, a wszechobecna woń spalenizny i odór rozkładających się ciał były trudne do zniesienia.

Przy kościele na Woli konwojujący pochód wypędzonych żandarmi niemieccy zarządzili postój. I jakby mało było dotąd udręki i nieszczęścia zaczęto wyławiać spośród tłumu i oddzielać od rodzin większość mężczyzn. Na próżno Irena poprosiła męża by odkrył głowę – bez czapki z powodu zaznaczającej się już łysiny wyglądał na więcej niż na swoje 40 lat!

Po chwili została sama z ciężką walizką i dwojgiem małych dzieci, z których jedno nie było w stanie samodzielnie się poruszać (rodzice i siostra z rodziną pozostali w tyle, oddzieleni napływającymi stale nowymi uchodźcami).

Po pół godzinie pochód, znacznie pomniejszony, ruszył, kierowany przez konwojentów, w stronę Dworca Zachodniego.

Było południe, żar lał się z nieba, Irena opadała szybko z sił – Oleńka coraz bardziej ciążyła na rękach, Basia marudziła – spragniona, domagała się pomidora zobaczywszy na poboczach, szerszej teraz drogi, sprzedawców tych warzyw, a ogromna, ciężka waliza zdała jej się dopełnieniem niedoli. Ustawiała co parę kroków ocierając pot zalewający oczy, Wydawało jej się, że za chwilę upadnie.– Nie mogę do tego dopuścić– kołatały jej się ostatnie, jasne myśli w głowie – muszę wynieść stąd dzieci w jakieś bezpieczne miejsce.

– Zatrzymała się. Stała tak na skraju drogi omijana przez obojętny, udręczony marszem w upale, tłum,

uspokajając płaczące, chore dziecko. W końcu postanowiła spróbować wcielić w życie pomysł, który z początku wydał jej się szalony, ale teraz, kiedy nie była w stanie kontynuować tego piekielnego marszu wszystko wydawało się lepsze niż dźwiganie tej kamiennej walizki.

Podjęła decyzję – podeszła do konwojenta, postawiła przy nim walizkę i wskazując na umęczone dzieci powiedziała, że i tak jej dalej nie poniesie, więc oddaje mu ją, niech zrobi z nią, co będzie chciał.

Na co liczyła? Może ufała swojej bardzo dobrej znajomości niemieckiego (języka tego uczyła się od wczesnego dzieciństwa), a może miała nadzieję, że pod mundurem niemieckiego żołnierza kryje się człowiek, może ojciec dzieciom? Intuicja jej nie zawiodła – żandarm zmieszał się w pierwszej chwili, rozejrzał, jakby chciał sprawdzić, czy go nie obserwuje nikt ze swoich i ociągając się jeszcze przez chwilę, obiecał pomóc.

W międzyczasie środkiem szerokiej, ocalałej w tej dzielnicy ulicy, nadciągnęła zwarta kolumna, sformułowana z odłączonych na Woli, mężczyzn. Zakłopotany, jak się wydawało, niespodziewaną sytuacją, niemiecki żołnierz stanął na krawężniku chodnika przyglądając się maszerującym. Po chwili, wyciągnąwszy rękę, władczy gestem przywołał jednego z mężczyzn polecając mu niesienie walizy. Przypadkowym tragarzem okazał się być bardzo młody, może 15 – letni chłopiec. Posłusznie wziął na ramię bagaż, ale już po kilkunastu metrach zaczął głośno narzekać, że ciężar prze-

kracza jego siły. Słyszając to Irena nawiązała znowu rozmowę z idącym obok konwojentem równocześnie uważnie lustrując, mijając ich marszowym krokiem, kolumnę. W pewnym momencie, zwróciwszy uwagę Niemca na zbyt duże obciążenie chłopca, poprosiła o odpoczynek i ewentualną zmianę pomocnika.

Znowu stanęli! Żandarm tym razem przyjrzał jej się uważniej, wyraźnie zadziwiał go tupet tej Polki, wydawała mu się niezwykła, zastanawiała go i zaciekawiła, szczególnie, że służba na tym palącym słońcu, w pełnym umundurowaniu, z ciężką bronią była coraz bardziej uciążliwa i nużąca. Jej świetny niemiecki, wdzięk młodości przy równoczesnym traktowaniu go nie jak znienawidzonego okupanta, a człowieka, który może pomóc, spodobały mu się.

Wytrzymała jego badawcze spojrzenie truchlejąc wewnętrznie. – Czyżby przejrzał jej grę? – A jeśli tak, to co zrobi? – kłębiły jej się pytania w skołatanej głowie. Kilka sekund, które upłynęły między jej prośbą a jego reakcją wydawały się jej wiecznością. W końcu uśmiechnął się. Odetchnęła czekając w milczeniu na decyzję. Zrozumiał jej intencje. – Czy chciałaby pani sama wybrać sobie pomocnika? – spytał. Teraz już pewniej spojrzała na rozmówcę, potakując z wdzięcznością.

Stanęli teraz bliżej ulicy. Irena uważnie przyglądała się maszerującej środkiem kolumnie. Wypatrzyła go po kilku minutach – siedł przedostatni w szeregu w swojej białej czapce, której włożenie nie miało już teraz znaczenia.

- Tego, tego proszę, on na pewno da radę. - Żołnierz zaśmiał się cicho i wyciągnął rękę przywołując maszerującego. Feliks szybko wyszedł z szeregu i przybliżywszy się do stojących przyjął pozycję wyczekującą - żadne z małżonków nie zdradziło się ze swymi uczuciami cały czas obawiając się cofnięcia decyzji. Dzieci zmęczone nie odzywały się jakby wyczuwając powagę sytuacji. Feliks chwycił na rozkaz walizkę i ruszyli. Niemiec został - i tak już dość daleko odszedł od swojego stanowiska, może też nie chciał by odkrył ktoś z jego niemieckiego otoczenia tę chwilę słabości.

Dalej już bez przeszkód dotarli do dworca Warszawa Zachodnia - tutaj według niemieckich zapowiedzi mieli, wraz z innymi wysiedlonymi, wsiąść do pociągów. Cel tej podróży nie był nikomu wiadomy.

Kiedy pochód umęczonych, głodnych, spragnionych wysiedleńców zbliżył się do wielkiego placu dworcowego spotkała ich kolejna, niemiła niespodzianka: przy wejściu na plac grupa niemieckich żołnierzy znowu dokonywała selekcji - młodszych, według oceny posterunku, zdatnych do pracy mężczyzn, kierowano za tor kolejowy, gdzie przejścia pilnowało dwóch wartowników. Irena z dziećmi i rodzicami, którzy odnaleźli się w międzyczasie, została po jednej stronie toru, Feliks z innymi, odłączonymi, po drugiej.

Ogarnęła ją rozpacz - poza obawą o los męża, pozostawała znowu sama z dwójką dzieci, z których jedno było ciężko chore i wymagającym wsparcia, niezwykle już utrudzonymi, rodzicami.



Irena
Kreutzingerowa
z mężem
i dziećmi, 1940 r.

Rodzina w 1941 r.



Irena z rodzicami
i córką Basią,
Warszawa 1941r.

Irena z matką,
Anną Samborską,
Warszawa 1941r.



Basia i Oleńka po latach (ok 1960r.)

- Nie mogę przecież tak siedzieć i się zamartwiać, muszę coś zrobić - myślała przygnębiona. Przypomniał jej się sukces sprzed paru godzin i postanowiła działać.

Siedzieli wszyscy, całą rodziną, niedaleko „granicznego” toru, pomyślała, że to korzystne dla jej planu i powoli, nieznacznie, zaczęła przesuwać się w stronę pilnie strzeżonego przejścia, równocześnie bacznie lustrując plac po drugiej stronie. W pewnym momencie zauważyła pojedynczą sylwetkę przemykającą między wagonami, jakimiś porzuconymi sprzętami i wozami konnymi. Po chwili rozpoznała - Feliks niepostrzeżenie odłączył się od grupy i teraz siedział ukryty za jakimś zdezelowanym wozem. To, że udało mu się zmylić strażę uznała za dobry omen i postanowiła działać; podeszła do wartownika w momencie, kiedy drugi strażnik oddalił się z posterunku.

Posługując się znowu swoim doskonałym niemieckim poprosiła o przepuszczenie na drugą stronę torów tłumacząc, że poszukuje zagubionego za torami dziecka. Dalsza rozmowa między Ireną a Niemcem przebiegała mniej więcej w ten sposób:

- No to proszę iść szukać tego dziecka - odsunął się trochę od szlabanu.

- Ale ja nie mogę sama przejść, bo mam jeszcze dwójkę dzieci - pokazała rozłokowaną w pobliżu rodzinę.

- To zabieraj te dzieciaki i idź szukać tamtego. - Niemiec wydaje się być już trochę zniecierpliwiony. Irena udając, że tego nie dostrzega uśmiecha się przeprasza- jąco i brnie dalej:

- No tak, dziękuję bardzo, ale jak ja zostawię moją mamę i ojca, którzy są starzy i nie dadzą sobie rady beze mnie.- Widząc złość w oczach Niemca bezradnie dodaje:-

- I mama ma chorą nogę.- Niemiec nieruchomieje na chwilę, patrzy przed siebie

i ...- Szlag by to trafił - przeklina - zabieraj ich wszystkich i przestań marudzić.-

Kiedy po latach myślała o tej rozmowie i całej tej niesamowitej sytuacji, sama sobie nie wierzyła, że wtedy udało jej się przekonać tego wartownika. Próbując dociec przyczyn tamtego sukcesu, przypuszczała, że znajomość niemieckiego na pewno stanowiła ważną okoliczność warunkującą powodzenie akcji, ale wydawało jej się, że dopiero wspomnienie o matce potrzebującej pomocy, było tym, co sprawiło, że serce tego młodego, niemieckiego chłopaka, może przymusowo wcielonego do wojska, zmiękło.

Na razie jednak nie myślała o tym wszystkim, szczęśliwa, że znowu udało się uniknąć rozłączenia rodziny w dramatycznym dla jej losów okresie, kiedy brak męża i ojca mógł zadecydować o jej przetrwaniu.

W kilka godzin później znaleźli się wszyscy razem w wagonie towarowym pociągu zdążającego w kierunku Pruszkowa. Tutaj pod czujnym okiem konwojentów zostali poprowadzeni do przejściowego obozu dla wysiedleńców.

Po kilkunastu minutach weszli do wielkiej hali poprzdzielanej niewysokimi, na biało malowanymi

murkami. Wzdłuż murków, na betonie, cienką warstwą była rozścielona słoma. Tutaj lokowano przybyłych przydzielając po dwa metry bieżące „posłania” dla każdej rodziny. Rodzicom Ireny i rodzinie jej siostry Wandy przypadło miejsce w innym, odległym baraku, skąd zresztą przed wieczorem, ze względu na dokuczliwość betonowej „podłogi”, przenieśli się, wykorzystując nieuwagę strażników, do pustego wagonu towarowego, gdzie przynajmniej podłoga była drewniana.

Rodzina Ireny została na betonie. Przeżycia minionego dnia były tak wyczerpujące i dla dorosłych, i dla dzieci, że nie mieli siły na szukanie jakiś znośniejszych warunków.

Noc na tym betonowo – słomianym łożu nie dała jednak odpoczynku, szczególnie, że stan Oleńki znowu się pogorszył. Wczesnym rankiem Feliks wyruszył w poszukiwaniu pomocy. Wrócił po godzinie niosąc trochę przegotowanej wody dla chorej i z wiadomością o możliwości poradzenia się lekarza, który kwalifikował zatrzymanych, albo do transportu w głąb kraju, albo na kwatery w okolicy.

W obawie przed ponownym odłączeniem Feliksa postanowiono do lekarza iść z dziećmi oddzielnie. Irena wzięła na ręce Oleńkę i dość szybko dostała wraz z dzieckiem „przydział” do pobliskiego szpitala w Tworkach, gdzie kierowano ciężko chorych wysiedleńców. Feliksa z Basią przepytowano dość długo i dokładnie o matkę dziecka, o samopoczucie małej,

która blada i wymizerowana, pouczona dodatkowo jak ma się zachować, skarżyła się na ból brzuszka. Feliksowi w uzyskaniu skierowania na leczenie, poza faktem, że był jedynym, jak zeznał, opiekunem dziewczynki, pomogła zadawniona kontuzja kolana, która na pierwszy rzut oka wyglądała na nie wyleczoną.

Wynik oględzin lekarskich, jak się okazało, był dla rodziny bardzo pomyślny. Po kilku godzinach pod zaimprowizowaną lecznicę, gdzie czekali, podjechała mała furmanka ciągnięta przez zabiedzonego konika, którym to pojazdem, wraz z inną rodziną, zostali zawiezieni do Tworek, gdzie nieprzytomną Oleńką natychmiast zajęli się polscy lekarze i siostry zakonne, pełniące obowiązki pielęgniarek.

W Tworkach przebywali pod troskliwą opieką lekarsko – pielęgniarzką prawie miesiąc; dzieci wyzdrowiały, Irena i Feliks (cały czas oficjalnie rozdzieleni) uspokoili się i nabrali otuchy, wierząc, że tak szczęśliwy obrót spraw, po tak trudnych doświadczeniach, musi być dobrą wróżbą dla dalszych losów rodziny.

* *
*
*
*

Epilog

W Krosnach

Moje wspomnienie dotyczy Krosen małej miejscowości leżącej 6 km od Pruszkowa i 2 km od Brwinowa i choć to tylko mały punkt na mapie oznaczający kilka domostw i zabudowania gospodarcze byłego gospodarstwa rolnego miejscowość ta ma własne dzieje i swój wkład w historię losów Polaków wypędzonych przez Niemców w 1944 roku z powstańczej Warszawy.

Uznałam, że wobec kruchości ludzkiej egzystencji, wobec faktu, że coraz więcej uczestników i świadków tamtych strasznych dni odchodzi zabierając ze sobą pamięć zdarzeń może małych, może nieważnych, ale składających się na los człowieka wplecionego w koła historii, może warto wspomnieć tamten czas, tamte zwyczajne, czasem tragiczne, czasem śmieszne sprawy ludzi, których udziałem był wspólny bezdomny los...

*Kwiaty, czy wy wiecie?
Wyznam wam w sekrecie
Miłość była w płatku róż.
Wczoraj go nie znałam,
Dzisiaj pokochałam,
Serce me oddałam już.
Nie wiem co się stało,
Duszę z siebie całą
Wszystko, wszystko chciałam dać...
Odszedł....! Zginął po nim ślad,
Został tylko róży kwiat....*

Nigdy potem już nie usłyszałam tej pieśni, piosenki może? Śpiewała ją Pani Śpiewaczka, tak ją z moją, 5-letnią wówczas, siostrą Oleńką nazywałyśmy. Obok tej Pani, uwielbianej przez dzieci, w jednym dużym pokoju (każda rodzina w swoim kącie na podłodze) mieszkała jeszcze pani Szerska lub Czerska z dwiema córkami: 18-letnią Marysią i 15-letnią Izą. Obie panienki były dla nas, wówczas małych dziewczynek, wzorem urody, elegancji i obiektem nieustannego uwielbienia. W pokoju tym miał również swoje posłanie malarz, może rysownik, którego imię – Tadeusz – zapamiętałam dlatego pewnie, że została w rodzinie pamiątka po tej znajomości w postaci ślicznego rysunku dwu profilów – jedyny wizerunek naszych dziecięcych postaci z owych czasów. Obrazu mieszkańców pokoju dopełniała charakterystyczna postać Cezarego Kamienieckiego, szczupłego, wysokiego pana, którego specyficzny, zaraźliwy śmiech szczególnie udatnie naśladowała, chowając się pod darowaną przez dobrych ludzi kołdrą, moja siostra.

Pan Cezary był bratem zarządzającego wówczas z ramienia Liegenschaftu Krosnami p. Kamienieckiego (imienia nie pamiętam), który był swego czasu kolegą ze studiów (SGGW) mojego ojca. To właśnie ta wspomniana po latach znajomość sprawiła, że po peregrynacji z Warszawy przez obóz w Pruszkowie i szpital w Tworkach (tam kierowano z Pruszkowa rodziców – jedynych opiekunów, z chorymi dziećmi), wylądowaliśmy w przepelnionym do granic możliwości dworku.

Pierwsi dotarliśmy po strasznie długiej pieszej wędrówce z moim tatą; mamę z Oleńką, jeszcze słabą po ciężkiej chorobie, przywiózł później jakiś litościwy gospodarz.

W dworku oczywiście jeszcze wtedy (był koniec października 1944 r.), mieszkało dwóch tzw. Zonderführerów z jakąś wymalowaną panną – chyba narzeczoną jednego z nich.

Kontakty między obu nacjami były rzadkie z wiadomych przyczyn, a dzieci, które z racji bliskości frontu i zdarzającego się ostrzału z nisko lecących samolotów wiele razy były chowane w szafie w sieni, żywiły do okupantów wręcz manifestacyjną nienawiść. Do niejakiego kompromisu dochodziło w kuchni, gdzie gosposia – Polka, gotująca dla żandarmów, czasem wzbogaciła ubogą żołnierską kuchnię wysiedleńców, składającą się na co dzień z sucharów, ziemniaków i gdzieś zdobytej kaszy. Zdarzył się też kiedyś jakiś żywy kurczak, którego nikt z całego tego towarzystwa nie umiał zabić. Zrobił to w końcu Pan Cezary, ale że z zamkniętymi oczami (chyba?), więc również przy okazji rozłupał stołeczek w kuchni. Smak tego, pierwszego po wielu tygodniach postu, rosółu pamiętałam długo.

Jeśli chodzi o menu wysiedleńców, to trochę się poprawiło po przejściu w styczniu 1945 roku, frontu. Wojsko „wyzwoleńcze” zostawiło nam wprawdzie worek kaszy gryczanej i słoninę, ale zjadło na surowo dwa kopce ziemniaków. Wobec bliskości działań frontowych nie rozpalano ani jednego ogni-

ska, a kopce zniknęły, co było przedmiotem wieloletniego zdumienia mojego ojca. Krosna w sumie jako majątek miały jednak szczęście, bo w obliczu wojennej filozofii radzieckiego dowódcy, który dziwił się, że w dworku jest zimno, chociaż stodoła i obora nadają się przecież na opał ("stodoły rąbać i palić" – w oryginale), budynki te nie ostałyby się, gdyby nie konieczność zachowania miejsca noclegu kompanii w konspiracji.

Posiłki gotowało się wspólnie dla wszystkich, więc były to na ogół duże ilości, co okazało się brzemiennie w skutki dla mojej wszędobylskiej siostry, która została oparzona zawartością dużej patelni świeżo stopionej słoniny. W tym samym czasie zostałam ugryziona przez psa jednego z pracowników majątku, więc obydwie najpierw wożono, a potem codziennie prowadzono do Józefowa, gdzie opatrywał i czuwał nad nami młodziutki lekarz, którego wspominam z wdzięcznością, bo jego zasługą chyba jest fakt, że po oparzeniu nie została żadna blizna, a po ugryzieniu bardzo niewielka.

Józefów wspominam jeszcze z innego powodu – otóż tam też zaczęłam chodzić od września do szkoły powszechnej (po wojnie panowie Kamienieccy wyjechali z Krosna i administratorem majątku z ramienia PNZ* został mój ojciec, jako że po reformie rolnej nie bardzo miał do czego w Poznańskim wracać). Moją wychowawczynią i opiekunką była pani Kubicka, która widząc mizериę mojego przydziew-

* Państwowe Nieruchomości Ziemskie

ku – wyszliśmy z Warszawy we wrześniu w upalny dzień – raz po raz zdobywała coś ciepłego dla mnie i siostry, ubierając nas w przeróżne, często za duże, rzeczy. Zbierała również „surowce” na płaszczyk dla mnie, niestety nie zdążyła go uszyć – wyjechaliśmy bowiem w lutym 1946 roku na Ziemię Odzyskane, gdzie mój ojciec zaangażował się w restrukturyzację i organizację, zaniedbanego w czasie wojny rolnictwa. W Józefowie mieszkała też moja pierwsza szkolna przyjaciółka – Basia Ogrodowska. Wizyty w domu pp. Ogrodowskich były zawsze połączone z sutym i słodkim poczęstunkiem, co dla mnie, doświadczonego przez powstanie i poniewierkę łakomczucha, stanowiło dodatkową atrakcję.

Wspomnienie tamtych dwu prawie lat spędzonych w Krosnach nie byłoby pełne, gdybym nie napisała paru słów o żyjących w naszym domu i otoczeniu zwierzętach. Najbardziej z domem związana była piękna, czarna kotka Mura, która z prawdziwie wyniosłą obojętnością obserwowала, siedząc na szafie lub piecu kaflowym, wszystkie, niepojęte nawet dla ludzi, wydarzenia dziejące się wewnątrz i na zewnątrz jej siedliska. Nie przeszkadzało jej to wszystko również w skrupulatnym spełnianiu swoich obowiązków, co szczególnie zajmowało nas jesienią i zimą, ponieważ potrafiła w ciągu jednego wieczoru przynieść kilkanaście upolowanych myszy, wykorzystując jako drogę komunikacji nie domknięty lufcik.

Żaba – jamniczka znalazła się w naszej rodzinie za sprawą wiązki siana, której potrzebował dla swego konia podróżujący w styczniu 1945 roku wozem gospodarz. Zagubionego psa znalazł gdzieś na drodze i chyba z ulgą się go pozbył, a dla nas, dzieci, był to wspaniały dar, szczególnie, że mimo zaawansowanego wieku Żaba urodziła szczenięta, a jej syn Miko był radością wielu lat mojego dzieciństwa.

Szczególne miejsce w całej tej menażerii zajmował byczek o wielkim imieniu Ursus. Urodziła go krowa ze stada pędzonego gdzieś z zachodu przez „wyzwoliciele”, właśnie w Krosnach na postoju. Ojciec mój, rozpoznając fachowym okiem wartość hodowlaną stada, uprosił eskortę o sprzedaż właśnie urodzonego buhajka. Ponieważ „niemowlę” było słabe i wymagało specjalnej opieki, wychowywało się przez zimę w kuchni i najbliższym obejściu dworku. Kiedy w lutym 1946 roku wyjeżdżaliśmy w olsztyńskie, nie sposób było go zostawić, tak był związany z nami wszystkimi i naszymi zwierzętami. Decyzję przyśpieszyła rozpacz dzieci, które nie wyobrażały sobie pozostawienia ulubieńca w oborze. Tak więc Ursusik pojechał na Ziemię Odzyskaną razem z nami, by tam za rok na wystawie zwierząt hodowlanych w Olsztynie uzyskać I miejsce za eksterier, urodę i łagodny charakter, oraz certyfikat dający mu prawo wypełniania męskich, hodowlanych obowiązków. Miało to dla nas też wymiar praktyczny, bo nie mając krowy i w ogóle niczego swojego, byliśmy

zawsze zaopatrzeni w masło, które przynosili wdzięczni właściciele kolejnych żon naszego wychowanka.

Brwinów, jak pamiętam, w tamtym czasie odwiedziłam z tatą tylko raz. Weszliśmy do małego sklepiku, a właścicielka życzliwie zdziwiła się, że dziewczynka jest tylko w podkolanówkach, chociaż była zima. Może nawet chciała pomóc, ale mój ojciec, nie nawykły do próśb, odpowiedział, że ma bardzo zahartowane dzieci i zawsze jest im ciepło, co było chyba w części prawdą, bo mi ta mała wrażliwość na zimno została do dziś. Po wielu latach, kiedy zawodowe losy przywiodły mnie do Pszczelina, rozpoznałam i sklepik, i właścicielkę, ale nie chciałam budzić upiorów przeszłości i nie przypominałam się jej już.

Krosna też odwiedziłam, ale tam nie rozpoznałam prawie niczego poza dworkiem wtulonym w gęste krzewy i zarośla, który wydał mi się taki mały i niepozorny, że wydawało się aż nieprawdopodobne, iż był kiedyś dla tylu ludzi światem odzyskanego spokoju i wiary w dobroć i życzliwość ludzką.

* *
 *
 *
 *